

Byłem w Polsce – 23

15 września 2018

Prawdę mówiąc, mieszkalem wtedy nie w Sopocie, lecz we Władysławowie, i do Sopotu dojeżdżałem kolejką, ale w czasie weekendów zostawałem aż do poniedziałku rano i najwcześniejszym pociągiem wracałem do Władysławowa.



Uczestniczyłem wtedy w kursie językowym zorganizowanym przez Szkołę Nauki Języków Obcych „Lingwista”, którą prowadziła pani Zofia Bastgen. W tamtym czasie była dość znaną tłumaczką, pisarką i felietonistką. Zapisałem się na trzy kursy, w wyniku czego spędziłem tam wtedy sześć tygodni i, szczerze mówiąc, nie żałowałem. Atrakcji było co niemiara, bo kursy były koedukacyjne, czasu było sporo, plaża całkiem ładna, no i mieliśmy zupełną swobodę wyjazdów do Trójmiasta. Był tylko jeden warunek, a mianowicie taki, że nawet poza codziennymi lekcjami trzeba było, między sobą, mówić w obcym języku. Kto był na francuskim, to po francusku, a kto był na angielskim, to po angielsku.

Może bym nawet na te wakacyjne kursy nie pojechał, bo ostatecznie kto sobie chce rujnować wakacje, ale uległem namowom ojca i raz jeszcze powtórzę – nie żałowałem! Ani przez sekundę!

Nie ulega kwestii, że obecność dziewczyn była najważniejsza. Nauka i owszem, ale wszystko to rozmywało się jakoś na wieczornych potańcówkach, wyjazdach do Non-Stopu i na plaży.

Tuż obok był sportowy ośrodek Cetniewo, gdzie akurat nagrywano film „Bokser” z Danielem Olbrychskim, Leszkiem Drogoszem, Lutkiewiczem i całą plejadą ówczesnych aktorów. Chodziliśmy więc tam wieczorami trochę popatrzeć, a trochę dla samych spacerów, bo przecież wiadomo, że nie ma nic piękniejszego niż „morza szum, ptaków śpiew...”.

Jednym z naszych nauczycieli, który uczył nas angielskiego, był przeciekawy człowiek – Karol Mortimer – poliglota. To był starszy mężczyzna, który miał niebywałe zdolności językowe, bo biegle mówił coś sześcioma językami – z tym że angielskim lepiej niż polskim. Urodzony w Anglii – z matki Polki i ojca Anglika – na naszym kursie zastępował nauczyciela, który akurat zachorował. On sam nie miał nic wspólnego z nauczaniem, tyle tylko, że doskonale mówił po angielsku. Czasem trudno w ostatniej chwili znaleźć zastępstwo, więc wzięto go trochę „z przypadku”. Pani Bastgen nie chciała czy nie mogła odwoływać zaplanowanych kursów, więc postarała się o takie zastępstwo.

I ten przypadek okazał się czystym błogosławieństwem, bo pan Karol był niesłychanie ciekawym człowiekiem, a przede wszystkim doskonałym lektorem. Nie można było sobie wyobrazić lepszego! Miał chyba wrodzoną kapitalną zdolność uczenia i nawet największe nudziarstwo, jakim jest gramatyka, w jego wydaniu wydawało się interesujące. Wiele razy powtarzał, że znajomość języków była jego największym kapitałem, a nawet zdarzyło się, że parę razy uratowała mu życie. Przytaczał różne przykłady, głównie z czasów wojny, nie tylko tej wielkiej, światowej, w czasie której walczył w Afryce, ale także z czasów późniejszych, bo jak się okazało, brał udział w zapomnianych konfliktach, w których zaangażowana była Wielka Brytania, a gdzie on był potrzebny jako tłumacz.

Jego opowiadania mogły stanowić kanwę dla filmu lub książki, a

przedstawiał je piękną angielszczyzną, akcentując to, co z punktu widzenia nauki języka było istotne.

W pewnym sensie przypominał mi mojego dziadzia, który zawsze powtarzał, że znajomość języków jest jednym z najważniejszych elementów edukacji dziecka. Tak był zresztą sam wychowany.

Właśnie dzięki tej znajomości języków, po katastrofie 1939 roku, kiedy to niezwyciężona Armia Czerwona wkroczyła na teren jego podolskiego gospodarstwa i pozbawiła wszystkiego, co posiadał, utrzymał jakoś głowę na powierzchni wody, a po wojnie mógł zarobić na utrzymanie rodziny.

Wakacje we Władysławowie miały jednak jedną dość przykrą wadę, a mianowicie tę, że nad całym miasteczkiem unosił się paskudny zapach produkowanej gdzieś w pobliżu mączki rybnej. Gdy jechało się w kierunku Helu, zapach mijał.

Teraz, w czasie naszego ekspresowego wypadu z Warszawy, nie mogłem nie pojechać w te strony. Ku mojemu ogromnemu zadowoleniu fetor mączki rybnej zginął, ale wraz z nim zginęło także wiele znajomych miejsc, bo wszystko zarosło, nowe domy zmieniły wygląd ulic i nawet plaże wyglądały inaczej. Zupełnie inaczej niż w Sopocie.

Jechaliśmy z moją Żoną wzdłuż półwyspu, aż na sam „koniec Polski”, gdzie wokół cypla wody otwartego Bałtyku wlewają się do Zatoki. Mimo mojego „południowego” pochodzenia morze zawsze miało dla mnie ogromnie dużo czaru, który wzmagał się, gdy czułem zapach nasączonego smołą drewna. Ten zapach kojarzył mi się z portem, zacumowanymi statkami, dalekimi rejsami i czarem wyrwania się w daleki świat! W takich momentach stawałem się jednym z bohaterów mojej ukochanej książki Stevensona „Wyspa skarbów”. Byłem więc Billym Bonesem albo Długim Johnem Silverem czy Israelem Handsem, walczyłem na noże na skwarnych Wyspach Żółwich, piłem rum i w ogóle byłem piratem szukającym skarbów.

Jakby na moje specjalne zamówienie właśnie na Helu zdarzyło mi

się usłyszeć zapomnianą historię, która w swoim czasie elektryzowała prawie cały świat. W czasie dobrego lunchu w restauracji – nomen omen – „Captain Morgan” rozmawialiśmy z jednym ze stałych bywalców, który opowiadał o gdyńskim porcie. Wśród wielu wspomnień przypomniał całkiem niedawną wizytę wycieczkowego statku MV „Aurora”, który wcześniej nazywał się „Stockholm” i był jednym z uczestników głośnego zatonięcia statku „Andrea Doria”. Statku wyładowanego dziełami sztuki. I oto dowiedziałem się, że zatonięcie „Andrea Dorii” miało miejsce właśnie po zderzeniu ze „Stockholmem”! A do tego wszystkiego ta słynna katastrofa miała miejsce dokładnie w czasie mojego pierwszego pobytu w Sopocie w 1956 roku, co ostatecznie nic nie znaczyło, ale miło zagrało w mojej wyobraźni.

Jeśli przyjąć, że miarą cywilizacyjnego rozwoju są ubikacje, to Hel z całą pewnością zmieściłby się w czołówce. Tam bowiem ubikacje są super i wydaje się, że stanowią ważną część miejscowej gospodarki. To jest znakomity biznes, panuje zdrowa konkurencja, reklamy i ogłoszenia są kuszące, ale jednocześnie łagodne, delikatne, a nawet wytworne.

„Zapraszamy na chwilkę relaksu! Nasze ubikacje lśnią czystością!”

Albo:

„Tu zrobisz tanio!”.

Albo:

„Posiedź z nami!”.

Idąc ulicą, czyta się je z przyjemnością i ogromnym poczuciem bezpieczeństwa. Zresztą żadna z tych reklam nie jest przesadzona. Ubikacje są czyściuteńkie, przytulne i nieustannie odświeżane.

Jakaż niebotyczna różnica pomiędzy nimi a tą nieszczęsną

kloaką na jarmarku w Białej Podlaskiej w 1968 roku, o której pisałem przy okazji wspomnienia mojej pielgrzymki do Kodnia.

Ale co ja tu mówię o Białej sprzed pięćdziesięciu lat? Weźmy na przykład rzymską Bazylikę Santa Maria Maggiore! Jakkolwiek by było Bazylikę Większą! Tamtejsza ubikacja doprowadziła mnie swego czasu do łez! Wyrwam się z tłumu wiernych, bo muszę! Biegnę w panice do kruchty, pytam o ubikację – nikt nic nie wie! Wreszcie ktoś pokazuje – o tak – to tu – w dole. Zbiegam schodami prawie do katakumb, a tu jedna ubikacyjka i długa, koedukacyjna kolejka! A po wejściu? Otwór w posadzce!!! I to nie było przed wiekami, tylko raptem parę lat temu!

I jeszcze inny kwiatuszek. Studencki akademik w Leningradzie w 1970 r., gdzie zdarzyło mi się być na miesięcznej praktyce. O, tam stanąłem twarzą w twarz z czymś zupełnie nieznanym! Otwarte kabiny! Nie ma drzwi! Co? Jak? Dlaczego? Przecież fundament naszej kultury są zamknięte drzwi ubikacji!!! A jednak! A do tego – zamiast toaletowego papieru – na wbitym w ściankę gwoździu parę kartoników lub kawałków grubej gazety, która przy dotknięciu brudziła farbą drukarską.

Szło się wzdłuż tych otwartych kabin, dyskretnie odwracając wzrok od siedzących tam ludzi. Czasem coś się jednak widziało. Jedni wczytywali się w zawieszone skrawki gazet z takim skupieniem, jakby czytali najciekawszy romans, a nie fragment sprawozdania z partyjnego posiedzenia komitetu obwodowego, inni machali ręką – niby to z pozdrowieniem, a jeszcze inni mówili wesoło „Zdrowstwujić! Kak dieła?”.

Jak higienicznie zakończyć posiedzenie kartonikiem? Albo ociekającą drukarską farbą gazetą? Oto jest pytanie na miarę rozwoju światowego mocarstwa!

I jeszcze coś smaczniejszego. Ciemna ubikacja! Bywają takie, szczególnie wtedy, gdy zepsuje się jakiś włącznik, stycznik czy coś innego, co powoduje, że światło włącza się dopiero po zamknięciu za sobą drzwi. Wchodzi się, a tu kompletna ciemność,

w której nie widać własnej ręki.

Miałem parę takich zwariowanych sytuacji w życiu i każda z nich doprowadzała mnie do klaustrofobicznej paniki! Jeszcze gdy – nie daj Boże – tych zamkniętych drzwi nie można otworzyć, bo w ciemności nie można wymacać zamka, albo ręce trzęsą się ze zdenerwowania, to po prostu wpadam w szaleństwo. W takich chwilach tracę zdolność racjonalnego rozumowania i zdarzyło mi się kiedyś wyłamać całe drzwi z futryną! Ile człowiek ma siły w momencie panicznego lęku, to wyobrażenie przechodzi. Kosztowało mnie to wtedy ładną sumkę i nie pomogły protesty! Drzwi trzeba było wymienić.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Zdjęcie: [piviso](#) (CC0)

Źródło: [Goniec.net](#)